

Godło: „Izsi”

ZAGUBIENI

Jesień była urokliwa. Ciepła i pogodna. Chciało się leżeć w jej ramionach i wygrzewać kościska w leczniczych promieniach słońca. Owoce grubiały od nadmiaru soków. Winogrona kusiły fioletem pękających gronek, niczym małe kieliszeczki wypełnione winem. Pąsowe jabłka kontrastowały z zielenią liści, a żółte gruszki mamły soczystą dojrzałością. Samotność lipy stojącej w kącie ogrodu ożywiały złoto – rdzawe liście. Towarzystwa dotrzymywały jej, ciągnące się aż do domu, fioletowo – białe dywany wrzosów przeplatane ciemnozielonymi mchami i różowymi daliami. Gdzie niedzie, kępami rosnące chryzantemy, puszyły się herbacianymi kwiatostanami jak panny na wydaniu. Tylko przydrożne sosny, nie zmienione jesienią, dumnie stały, niczym strażniczki domowego zacisza. Postawiony w altance pod winogronową pergolą stolik z fotelami był wygodnym miejscem spotkań, wspólnych posiłków i długich rozmów. Było pięknie i dobrze.

Złapał się na tym, że skradał się na palcach, uważnie i cicho jak kot. Ciemność rozpraszał jedynie promyk światła, który wysnuwał się pomiędzy niedomkniętych drzwi. Szedł niemalże na pamięć, ostrożnie, by nie wzbudzić niepokoju. Mijał znane miejsca domu, ale czuł się bardzo nieswojo. Nagle wydało mu się, że usłyszał szmer w pokoju gościa. Przystanął. Odruchowo odgarnął włosy z czoła, jak kiedyś, gdy kruczocharne loki grzywki spadały mu na oczy. Zrobiło mu się głu-pio, że skrada się jak złodziej. Ale serce waliło z podniecenia. Czuł się znowu jak osiemnastolatek, który całował wzrokiem postać ciemnowłosej, wąskoustej dziewczyny o oczach świecących jak kamyki w wodzie.

Niezauważenie podszedł do drzwi. Kątem oka dostrzegł jej postać. Zastygł, by zobaczyć, że jej hebanowe, faliste włosy czas zamienił w siwe pasma ściętych straków, które okalały smutną twarz. Niekochane serce zgasło namiętność ust i błysk oczu. Klęczała podpierając swoją kruchą postać łokciami położonymi na łóżku. Jego wyczulone ucho wyłowiło z ciszy szept modlitwy, która podsycala w sercu miłość do Boga, jedynego, który jej nie zdradził. Półgłos przechodził momentami w mamrotanie. Automatycznie poruszył ustami, jakby to on był modlącym się. Nie sprawiło mu to jednak przyjemności. Nie wiedział, co powiedzieć. Wykrzywił usta, skotłowane myśli nie dały jasnego obrazu pragnień danej chwili. Czego oczekiwał po tej nocnej wizycie? Chciał zobaczyć dawną czternastoletnią dziewczynę w białym fartuchu, z niemoralnie wyciętym dekoltem, bo bluzka była za duża? Widocznie w magazynie nie było rozmiaru dla filigranowej postaci. A może liczył na to, że padną sobie w ramiona i złożą na zestarzałych ustach pocałunek, na który czekali całe życie? Czy może chciał, by miast modlitwy szeptała jego imię?

Oblicze starszego mężczyzny spochmurniało, a w serce wdarł się lęk, zamknął oczy. Michała...Michalina...Michasia...samo imię budziło zniewalające podniecenie i jednocześnie błogość, która dawała ukojenie zmysłom. Poczł pragnienie jej bliskości. Tak, chce ją objąć, utulić, wczepić się we włosy dłońmi i z czułością powiedzieć, że przeprasza za te wszystkie lata nieobecności, niemożności, za tę wieczność bez niej. Poczł jej zapach, muskanie włosów na policzkach. Zachwiał się. Dziwny przestach połaskotał serce tak, że musiał przytrzymać się ściany. Wziął głęboki oddech. To wystarczyło, by wrócić do rzeczywistości. Odczekał chwilę. Jeszcze raz rzucił okiem do pokoju. Ona nadal klęczała i modliła się. Intrygowała go ta modlitewna postawa. Zajrzał w głąb swojej duszy. Boże, kiedy to ostatni raz klęczał przy modlitwie? Właściwie wcale się nie modlił. Brał życie takim jakie było. Liczył, że ona będzie bardziej życiowa. A tu ...zakonnica. Nie, nie wyśmiewał jej, nie wyśmiewał Boga. Miał swoiste poczucie humoru, dystans do życia. Być może w jego sercu tliła się kiedyś iskierka wiary, lecz czas dawno ją przygasił. Jednakże nie mieściło mu się w głowie, jak ona, taka piękna, powabna, seksowna, inteligentna dziewczyna mogła tak bardzo zacieśnić swoje życie tylko do Boga i spełniania Jego woli. Może to jednak najwyższy wymiar życia?

Pod wpływem myśli przygarbił się nieco. Stracił ochotę na dalsze zmaganie samego ze sobą o to, by sprawdzić, jakie pragnienia drzemią w ich duszach i ciałach. Zrezygnowany wrócił do swojej sypialni. Połać wielkiego małżeńskiego łóża nie wzywała łaskawie. Zresztą, nigdy nie było tu zbyt ciepło i czule. Z drugą żoną Elfriedą byli przykładnym małżeństwem. Ale żeby szalonym z miłości? Wspólnie wychowywali jego córkę Urszulę z pierwszego małżeństwa, która szybko opuściła ich i kraj, w którym mieszkali. Zostali sami ze sobą, ze swoim niemieckim, uporządkowanym życiem, które wyznaczały godziny posiłków i pracy, wczasów, a potem w codzienność wplotły się jeszcze leki, które regulowały fizjonomiczny, lepszy tryb życia. Leków na wspomnienia nie było. Dlatego oprócz pracy zawodowej miał przy domu malutki kiosk z napojami, także z piwem. Lubił, kiedy ludzie przychodzili na malutkie zakupy i chwilę przystawali, by porozmawiać. Tak zapełniał życie, nie zostawiając miejsca na przeszłość.

Opadł na łóżko. Leniwie zsunął kapcie i położył się na wznak, przykrywając szczupłą sylwetkę puchową kołdrą. Poczł chłód pościeli. Jaki przyjemny. Zamknął oczy. Zdawało mu się, że słyszy krzyki nadbiegających kolegów.

Chłopcy pobiegli nad jezioro, by jak zwykle powyglupiać się w wodzie. W pędzie zrzucali porcięta i koszule. W galotach wskakiwali do wody rozbryzgując ją dookoła i na wyścigi płynęli do wyznaczonej trzcinami mety. Józef, choć najmłodszy, nie dawał za wygraną. Nagorzej było mu zawsze rozsypać sznurek od spodni, ale doszedł już do takiej wprawy, że potrafił być drugi w wodzie. A dzisiaj, dzisiaj był pierwszy! Zimna! Ale jak przyjemnie, gdy rozgrzane ciało opływa chłód

dający wytchnienie. Zaraz za nim wskoczył Janek i Heniek. Pokrzykiwali na siebie. Jest trzcina! Kto pierwszy! Józef! Dzisiejszy dzień wybitnie należy do tego chłopaka z głową pełną niezmiernych pomysłów.

Zaraz potem ganił się po plaży i obrzucali piaskiem, by za chwilę znów wskoczyć do wody. I tak wkoło. Aż zmęczeni padli na trawę szukając odpoczynku. Leżeli rozłożeni twarzami do słońca. Susząc ciała, gryźli żdzbla traw i gadali o różnych sprawach.

- Józek, ty to masz dzisiaj dzień! A mówiłeś, że nie chcieli cię dzisiaj puścić nad wodę. – zaczepnie odezwał się Janek.

- No, tak było – odpowiedział Józek – Miałem iść z ciotką Apolonią na łąkę po mlecz dla królików, ale uciekłem.

- Ej, znowu cię babka do stołu przywiąże za karę. – przypomniał Heniek.

Chłopcy wybuchnęli śmiechem. Wiedzieli, co to kara rodzicielska, ale żadnemu z ich opiekunów nie przyszło do głowy przywiązywać urwipołciów za nogę do stołu. Owszem, nie raz zbierali baty na tyłek za nie przypilnowane gęsi, czasami od matki dostawali ściągę „bez łeb”¹, ale ten pomysł ze stołem. Fiu, fiu! Widać babka Józefa jest pomysłowa.

Ale Józef nie słuchał. A co tam, przywiąże, to sobie pogram na grzebieniu. A jak już babce się znudzi, to mnie puści. Jedna rzecz uparcie nie dawała spokoju Józekowi. Ciotka Apolonia jakoś nie nalegała, żeby został w domu. Czuł nawet dziwne przyzwolenie na dzisiejszą ucieczkę nad jezioro. Matka jego od kilkunastu dni leżała chora w domu. Wszyscy byli jacyś wyciszeni. Tylko jemu miało się na wyglupy. W sercu zrodził się dziwny niepokój. Nie wiedział co on oznaczał, ale czuł w głębi chłopięcej duszy jakieś drzenie. Postanowił wrócić do domu.

- E, chłopaki, idę do domu. Głodny jestem. – skłamał i zaczął się zbierać.

- To my też wracamy – zawtórowali Janek i Heniu.

Chłopcy założyli spodnie, koszule przerzucili na ramiona i skierowali kroki ku domostwom. Po drodze napotkali porośnięte dojrzałymi poziomkami zbocza górki. Rosnące pod zielonymi liśćmi owoce dojrzałą czerwienią zachęcały do przekąski. Zjedli po kilkanaście poziomek i narwali po garstce na drogę. Udało im się jeszcze pod drodze wystraszyć Maryskę, która pasła gęsi na łące. W końcu dotarli do wsi i na jej skraju rozbiegli się do domów.

Józef z rozwichrzonymi włosami i umorusaną buzią wbiegł zdyszany na podwórko. Przestraszyła go dziwna cisza panująca wokół. Wszyscy domownicy byli wewnątrz izby, w której spała matka. Uderzył go widok zasłoniętego okna facjaty i czarna chustka na głowie ciotki Apolonii, która stała w drzwiach domu. Wyminął ciotkę, by wbiec do środka. Zaskoczył go zapach świecy i śmierci. Jego matka Wiktoria leżała nieruchomo na łóżku. Zmarła. Józef nie powiedział ani słowa, nie wydusił ni kropli łzy. Uciekł. Schował się u sąsiada w stodole. Wtedy płakał. Płakał. I płakał.

¹ bez łep – w gwarze nowokramskiej oznacza „po głowie”

Po śmierci matki Józef oficjalnie zamieszkał z ciotką Apolonią w Nowym Kramsku, w małym domku, który stał po sąsiedzku z jego domem, a właściwie domem babki Konstancji. Ciotka była wdową, zaraz na początku małżeństwa jej mąż – Michał, zginął podczas pracy w cegielni. Nie szukała innego, choć co niedziela przychodził wuja Deja, cichy adorator, któremu nie dawała jednak szansy na nic więcej, jak na wspólne popołudnie spędzane w milczeniu. Zresztą, kiedy wzięła chłopaka siostry do siebie, życie nabrało innego sensu. Józefek, tak nazywała siostrzeńca ciotka, stał się jej oczkiem w głowie. Kochała go bardzo i on ją też. Przystojny, z kręconymi włosami, muzyczny, filuterny i pracowity. Z samego patrzenia pękała z dumy. Zrobiłaby dla niego wszystko. Czasami w wychowaniu Józefka chciała Apolonii pomóc jej matka.

- Józef – wołała Konstancja - Ty ludrze² jedyn, ja ci zara dóm bez łeb! Idziesz tu kaduku³? Dali, pódź jyjś⁴. – wołała za nim zdenerwowana babka. Ale Józef ani myślał wracać na kolację, na którą miał dojadać dzisiejszy obiad. Wołał powłóczyć się po polach i zjeść jakiś owoc: jabłko, wiśnię, czy śliwkę, w zależności od pory roku. Na szczęście czarne chmury gęstniejące nad Józefkiem w postaci babki zdarzały się nie często.

Chłopak rósł, przysparzając ciotce raz dumy, innym razem utrapienia. Jednak z czasem nauczyli się żyć we dwoje i wydawało się, że nic tych relacji nie zmieni.

Kiedy podczas II wojny światowej ukochany osiemnastoletni siostrzeniec Apolonii dostał wezwanie do wojska, ciotka prawie umarła. Jednak nie było możliwości, by decyzję zmienić. Ledwo poszedł do wojska, jak przyszła wiadomość, że Józef jest ranny. Apolonia wyła z bólu. Na nic jednak babski płacz i żal, front niósł ze sobą ofiary.

Wystrzały zdawały się rozbryzgiwać ziemię na kawałki. Koledzy Józefa parli do przodu. On też nie dawał za wygraną. Cholerni strzelcy. Wskoczył z okopu i puścił się pomiędzy drzewa. Nagle poczuł, że dostał. Przeszywający ból rozsadał nogę. Upadł, uderzając twarzą w leżące drzewo. Stracił przytomność. Po chwili ocknął się. Już nie czuł bólu. Wydawało mu się, że woda opływała jego ciało. Było przyjemnie, lecz nieco zimno. Tymczasem leżąca się obficie z rany krew, wsączała się w mundur. Postrzelili go. Ranili w nogę. Sanitariuszka opatrzyła ranę, a dwaj koledzy, wzięwszy Józefa pod ramiona, wycofali się z nim do okopu. Miał szczęście, bowiem załapał się na konny transport do wojskowego szpitala. Droga była długa i nie pamięta jak przebiegała. Dość, że dzięki szybkiej lekarskiej pomocy nie stracił nogi. Był za to wdzięczny. Wiedział, że jego kuzyn Konrad

² luder - w gwarze nowokramskiej – negatywnie: łajdak, nieusłuchaniec, dodatnio – nieznośnik, kawalarz, ktoś, kto wymyśla żarty, z których się śmiejemy, ale jednocześnie jesteśmy trochę niezadowoleni.

³ kaduk – w gwarze nowokramskiej – urwipoleć, nieusłuchaniec

⁴ Pódź jyjś – w gwarze nowokramskiej – chodź jeść.

stracił na wojnie rękę. Józef miał więcej szczęścia! Do całkowitego zdrowia przywróciło go jednak zupełnie coś innego. A raczej Ktoś inny. Póki nie poznał jej imienia, nazywał ją Cudem.

Każdego ranka obserwował ozdrowieńczy Cud spod przymkniętych oczu. Nie mógł ich całkowicie otworzyć, gdyż twarz miał jeszcze spuchniętą od uderzenia. Jego Cud miał hebanowe włosy upięte ciasno w kok i zakryte białą chustką, zawiązaną z tyłu głowy, jak chłopki idące w żniwa na pole. Pięknie wykrojone amarantowe, wąskie usta, które rozchylając się obnażały śnieżnobiałe zęby, były tak pociągające, że śnił o pocałowaniu ich. Bystre oczy okolone wyciętymi jak mongolski łuk brwiami kontrolowały jakość pracy. Szczupłe ręce Cudu były bardzo sprawne i delikatne, kiedy zmieniały mu opatrunek. Widział także zarys biustu, który nieudolnie chowała za nieco mocno wyciętą bluzeczką, zdjętą jakby ze starszej siostry. Biały fartuch i zapach czystości dopełniał obrazu Cudu, który wołano: „Siostro!”

Siostra Michalina podeszła do bladego, o miłej twarzy, chłopaka, którego przywieźli z frontu. Był Niemcem. Tak. Wiedziała o tym. Ale ona sama też pracowała w niemieckim szpitalu polowym. Jak to się stało? Zupełny zbieg okoliczności, zawirowania wojennego i potrzeba chwili, by nieść pomoc innym. Nie ważne, Niemcom, Polakom, czy Żydom, ważne, że ludziom, że mogła być potrzebna i pośród całego okrucieństwa wojny zamiast śmierci niosła pomoc tym, którzy jej potrzebowali.

Tego młodzieniaszka przywieźli przedwczoraj. Zaraz został poddany operacji. Głęboka rana uda nie rokowała dobrze. Lekarze jednak starali się, by dać młodemu szansę na lepsze życie. Jak każdego rannego, opatrywała go starannie, lecz widząc go, w jej serce wdzierła się jakaś szczególna czułość. Józef miał czarne włosy, mimo wystrzyżenia widać było, że nie mogą się doczekać, aż odrosną i zaczną się kręcić. Jego bladą cerę jeszcze bardziej rozjaśnił ból i fakt, że utracił bardzo dużo krwi. Miał mocno owłosione szczupłe nogi, choć całą sylwetkę dobrze umięśnioną. Nie był zbyt wysoki, ale leżący wydawał się wysmukły. Kiedy pierwszy raz otworzył usta, by niezrozumiałym szeptem poprosić o łyk wody, zauważyła śmieszna i dość dużą szparę w zębach. Wzbudziło to w jej sercu dodatkową sympatię do pacjenta. Czowała w tym chłopaku jakąś niepokojącą nutę zrozumienia i ciepła. Mimo, że był Niemcem, mimo, że nie rozmawiali ze sobą, czowała się przy nim dobrze.

Coraz częściej łapała się na tym, by usiąść przy Józefie, takie imię wyczytała w karcie, i czekać na otwarcie oczu, na słowo, które w końcu wypowiedział. I nie było to słowo w języku niemieckim. Ukazując swoją filuterną szparę w zębach i patrząc niemiłosiernie brązowymi oczami, powiedział do niej: „Michalino!” Nie słyszała dotąd nigdy, by ktoś z takim namaszczeniem wymawiał jej imię. Uścisnęła go za rękę. Był to najpiękniejszy uścisk w jej życiu. Odzwierciedlał zauroczenie i pragnienie. Dawał nadzieję, że ta dłoń jest dobra i czuła. Michalina chciała, by ta chwila

nigdy się nie skończyła. W myślach szeptała imię: „Józef...”. Siedziała tak przy nim, aż wołanie: „Siostrzo!” wybiło ją z romantycznego zastoju. Puściła jego dłoń i odeszła do swoich obowiązków.

Była to chwila, która na zawsze zapisała się w sercach dwojga ludzi tułających się samotnie po świecie opanowanym przez wojnę. Dała im nadzieję na przyszłość i wiarę w ludzi. Pozwoliła na odnalezienie oazy bezpieczeństwa i zaufania, którą był drugi człowiek. To było piękne i wzruszające. Nazywało się szczęście!

Rana goiła się dość szybko. Kiedy tylko Józef nabrał sił i stanął na nogi, ruszył na front. Zaraz po wypisaniu ze szpitala, został wywieziony w głąb Niemiec, a siostra Michalina kontynuowała swoje obowiązki w szpitalu. Przysięgli sobie, że jeśli przeżyją wojnę, to się odszukają. Na pożegnanie zdążyli wyszeptać swoje imiona.

„Kochana Michalino!

Po naszym rozstaniu nie mogę znaleźć sobie miejsca. Nie otrzymałem od Ciebie żadnej wiadomości. Co się dzieje? Codziennie ocieram się o śmierć, która byłaby wyzwoleniem. Wierzę jednak, że Bóg zlituje się nad nami i pozwoli na spotkanie. Kocham Cię i nigdy nie zapomnę.
Twój Józef”

„Kochany Józefie!

To już kolejny list do Ciebie. Wysyłam go na nowokramski adres. Nie mam jednak żadnej odpowiedzi. Czy nasza miłość ma sens? Nie umiem żyć bez nadziei, że się odszukamy.

Kocham Cię! Tęsknię! Twoja Michalina.”

Późnym niedzielnym popołudniem Apolonia zaparzyła sobie bum⁵ kawę w swojej ulubionej filiżance z fiołkami. Wyciągnęła z szafy kawałek placka na strojzlach⁶ i ugryzłszy kęs sięgnęła po blaszane pudełko. Granatowo – żółte pudko⁷ z wytartymi od otwierania brzegami było jej skarbnicą. Tu przechowywała bowiem listy od jej Józefka. Tu zatrzymała czas, kiedy czuła, że jest częścią jego życia. Pomiedzy łyki kawy i kęsy placka wplatały się słowa słodkie jak strojzle. Było jej miło i ciepło na sercu, ta swoista celebracja dawała jej wiarę w to, że słusznie wybrała. Czasami pośród jego słowa wplątywały się wspomnienia innych, jeszcze gorętszych, pisanych kochającą ręką do niego, wtedy w jej sercu pojawiał się niepokój. Szybko jednak uspokajała się, spoglądając na inną puszkę, która stała w najdalszym kątku na szafie jako znak, że udało jej się dawno uporządkować życie Józefka. Właściwie może powinna spalić te listy od Michaliny? Nie umiała odpowiedzieć sobie na to pytanie. W głębi duszy myślała, że kiedyś powie Józefkowi o tym, że ta dziew-

⁵ bum kawa – w gwarze nowokramskiej prawdziwa kawa

⁶ strojzle – w gwarze nowokramskiej: okruchy na cieście

⁷ pudko – w gwarze nowokramskiej: pudełko

czyna pisała do niego. Wy tłumaczy mu, że to nie miałyby sensu. Tak. Było bez sensu. Obecność puszek z listami od zakochanej warszawianki w jej domu były gwarancją, że ten wątek w życiu jej syneczka został przypieczętowany.

Od czasu, gdy zakończyła się wojna, rytuał picia kawy i czytania listów był wpisany w niedzielne popołudnia Apolonii. Nie potrzebowała już niczego i nikogo. Była na swój sposób szczęśliwa, wiedząc, że Józefek ma swój stały ład tam, gdzie jego byt jest zabezpieczony. Ma pracę, żonę i dziecko. Od czasu do czasu skreśla kilka słów do niej. Wysła też paczki z różnymi smakołykami i ubraniami. Gdyby mogła, nie jadłaby nic z tych smakowitości, ale przecież jedzenia nie da się trzymać na pamiętkę.

Dołożyła drewna do pieca. Ogniki cicho skwierczały, przesuając się po nasyconym żywicą polanie. Jak pięknie rozjaśniło się wewnątrz pieca, jasno i ciepło, jak w jej szczęśliwym sercu. Miłość. Jakkolwiek ją nazywano ona pojmowała ją jako wszystko to, co należało zrobić, by Józefek był szczęśliwy. W jej mniemaniu – był!

- Marlenko! – zawołała matka. – Zobacz, znalazłam zdjęcie wujka Józefa. Ale przystojniak, co?

- No rzeczywiście, niczego sobie. – odpowiedziała córka, zerkając na zdjęcie falistowłosego mężczyzny.

- Wiesz, tak sobie myślę, może warto by spróbować jeszcze raz odszukać tę jego wojenną miłość...? – wypowiedziała głośno swoje myśli Łucja. – Próbowaliśmy z Wandą zaraz po wojnie szukać tej sanitariuszki przez PCK, ale się nie udało. Może teraz? – jej głos zawisł w powietrzu.

- Może masz racje, mamo. Teraz już nieco inne czasy. – stwierdziła Marlena. – Swoją drogą, spróbujmy. Napiszę jutro do PCK. Może się uda.

Łucja odetchnęła. Sprawa odszukania warszawianki Józefa ciążyła wszystkim, zwłaszcza po jego ostatniej wizycie w Polsce, po śmierci ciotki Apolonii. Był z Elfriedą, ale jego serce ciągle należało do Michaliny. W rozmowach często powracał do zaginionej sanitariuszki ze szpitala. Widać, że rozmowa dawała ulgę jego namiętności.

Marlena dotrzymała słowa. Napisała do PCK. Długie oczekiwanie na odpowiedź sprawiło jednak, że straciły nadzieję na odnalezienie Michaliny. Aż tu pewnego dnia Marlena wpadła z okrzykiem do domu, wołając:

- Mamo, mamo! Jest! Znaleźli Michalinę! – wrzeszczała pokazując matce list.

Łucja nerwowo wzięła do ręki pismo.

- Michalina ...tak, adres...żyje! – musiała usiąść. Jakże się cieszyła. Jak powiedzieć o tym Józefowi?... jak?...

Zadzwończyła wieczorem, pozwoliła, by to Marlena poinformowała go o odkryciu.

- Witaj wujku! Co tam słycać u Was? – zapytała Marlena, sondując nastrój wujka.
- No wszystko dobrze. – odpowiedział Józef swoją specyficzną polszczyzną, która miała melodykę gwarową, nowokramską. Wyraźnie zdziwił go telefon z Polski.
- Wujku. Mam dla ciebie ważną informację. Otóż chciałam Ci powiedzieć, że odnalazłam Twoją Michalinę! – prawie wykrzyczała mu Marlena w słuchawkę, nie mogąc ukryć podniecenia. W telefonie zaległa długa cisza.
- Wujku...?...halo... - wyszeptała zatroskana Marlena.
- Tak... - dał się słyszeć chrapliwy głos. – Słyszę, słyszę...to niemożliwie, jak tyś to zrobiła?... – z niedowierzaniem pytał Józef.

Marlena opowiedziała w skrócie o swoich poszukiwaniach. Przesłała adres Michaliny wujkowi, a ten postanowił niezwłocznie odwiedzić swoją miłość, wraz z żoną. Marlena uprzedziła wujka, że Michalina jest zdrowa, lecz zamężna, z całym bagażem życiowych trosk. Uprzedziła go także o tym, że najpierw ona sama zadzwoni do tej pani, by i ją uprzedzić o nadchodzących wydarzeniach. Wujek wyraził na wszystko zgodę.

Siostra Michalina nigdy nie odnalazła swojego Józefa. Przepadł. Na wizytę w Nowym Kramsku nie miała siły, tym bardziej, że tam właśnie kierowała większość listów. Koniec wojny zastał ją w Gdańsku. Postanowiła osiedlić się w tym mieście. Znalazła pracę w szpitalu. Tu poznała swojego męża, z którym powiła dwoje dzieci – Jadzię i Stasia. Z mężem nie żyli jednak w związku długo, gdyż ów okazał się zwykłym łajdakiem, który nie potrafił wytrzymać życia rodzinnego. Została sama. Właściwie to nawet nie lamentowała nad swoim losem. Postanowiła poświęcić swoje życie dzieciom i Bogu. Dzieliła swój czas między dzieci, pracę i modlitwę. Pozwalała sobie od czasu do czasu, na rozmyślenia dotyczące pewnego chłopca o czarnych włosach i ze śmieszną szparą w zębach, którego imię jeszcze dzisiaj budziło w niej niepokojący dreszcz zadowolenia. W pracy cieszyła się uznaniem. Awansowała nawet na przełożoną pielęgniarek. Dzieci, dzięki Bogu, rosły, kształciły się i ku zadowoleniu mamy, zakładały szczęśliwe rodziny. Nic nie mąciło jej harmonijnego życia.

Pewnego dnia, kilkadziesiąt lat po wojnie, Michalina odebrała dziwny telefon:

- Dzień dobry, nazywam się Marlena Nonieczek. Dzwonię z Wolsztyna. Jestem krewną Józefa. – usłyszała w słuchawce młody, nieco podniecony kobiecy głos.
- Tak, dzień dobry. – odrzekła nieufnie.
- Czy rozmawiam z panią Michaliną Łowacką? – zapytał miły głos.
- Tak, to ja.. – odparła Michalina ze zdziwieniem.

- Wiem, że dziwi panią mój telefon – relacjonował głos – chciałam panią poinformować, że od zakończenia wojny szukaliśmy pani. Wiemy, kim pani jest dla wujka Józefa. Niestety poszukiwania zaraz po wojnie, nie dały rezultatu. Postanowiłam ponowić je współcześnie i udało mi się Panią odnaleźć! – mówiła, a właściwie prawie ćwierkała radośnie kobieta.

Michalina przysiadła na fotelu. Zakręciło jej się w głowie. Zaczęła nerwowo oddychać. Na wszelki wypadek odkaszlnęła gwałtownie. Na czole pojawiły się kropelki zimnego potu. Przetarła je ręką.

- Halo, halo, pani Michalino? Czy dobrze się dodzwoniłam? – pytał głos.

- Halo – zdobyła się na odwagę, by odpowiedzieć – tak, jestem, To ja. – wyszeptała Michalina.

Dalsza część rozmowy odbyła się w miłej, aczkolwiek nieco napiętej atmosferze. Marlena dokładnie opowiedziała o poszukiwaniach pani Michaliny, a jednocześnie negocjowała warunki przyjazdu wujka. Udało się. Po latach zakochani spotkali się w Polsce, w Gdańsku. Pomimo upływu czasu poznali się od razu. Opowiedzieli sobie, co przyniosło im życie. Ale czy powiedzieli wszystko?

Ta wizyta ją przerosła. Czego się spodziewała? Sama nie wie. Zgodziła się pojechać do Józefa, by zobaczyć jak mu się żyje. Był sam. Żoną zmarła w międzyczasie, kiedy odnaleźli się po latach. Mieszkał w ładnym domku, samotnie. Pojechała do niego, by mogli choć w jesieni życia powiedzieć sobie wszystko, czego dotąd nie powiedzieli, a co ciążyło na ich sercach.

Rozmowy ciągnęły się godzinami. Siadali w przydomowym ogródku pod baldachimem z winogron. Zjadali wspólne posiłki, pili kawę. Potem spacerowali. Ciągłe rozmawiali. Mieli sobie tyle do powiedzenia. Bywały momenty, że uśmiechała się na widok śmiesznej szpary w jego zębach. Miał swoje zęby! Tylko kruczoczarne loki zmieniły się w stylową siwiznę. Józef nie stracił nic ze swojego uroku. Tylko ich światy były bardzo oddalone od siebie. Ona – zraniona, porzucona, oddana Bogu. On – ciągle marzący o niej.

Ich rozmowy były ciepłe, jak tegoroczna jesień. Nie szukali winnych tego, że nie mogli ze sobą być, cieszyli się z daru spotkania po tylu latach tęsknoty.

Kiedy księżyc układał ludzi do snu oni z niechęcią rozchodzili się do swoich pokoi. Tam każdy z nich rozmyślał nad życiem, które się kończy. Oboje w podeszłym wieku, ona 78, a on 82 lata, lecz wolni, jak wtedy, gdy mieli po naście lat. Czy mogą dogonić stracony czas? Dopiero niedawno dowiedzieli się, że obydwójce bezskutecznie poszukiwali się. Może warto zainwestować w jesień życia, by była złotą?

Michalina skończyła modlitwę, podniosła się z klęczek i cichutko, ale zdecydowanie przeszła do sypialni Józefa. Drzwi były otwarte. Weszła ostrożnie. Józef leżał bez ruchu, zdawało się, że śpi. Ale on czekał. Wślizgnęła się do łóżka i przytuliła do niego. On objął ją ramieniem, a drugą

ręką uściskał jak wtedy w szpitalu. W ich duszach zagościły uśmiechy i spełnienie. Wiedzieli już, że mimo różnic tę część życia spędzą razem i nikt im tego nie odbierze.

Ranek tej jesieni był wyjątkowo ciepły, a złote liście łagodnie goniły się na wietrze. To nic, że to ich ostatnie pląsy przed zimą. Warto zatracić się choćby w krańcowym tańcu życia. Winogrona strzelały nadmiarem soku, kroplami którego chciały wznieść toast za dwoje zagubionych zakochanych, których los postawił na ostatnim odcinku życia, by mogli wędrować razem, ku słońcu.

dzień się chyli
ku swojej starości
podparty czerwienią słońca
szuka ostatnim blaskiem
tych
którzy pragną piękna
pozwala kochać